ROK II. LUTY 1926. Nr. 6.

OGNIWO

PISMO UCZENIC PAŃSTWOWEGO GIMNAZJUM ŻEŃSKIEGO
IMIENIA KRÓLOWEJ JADWIGI WE LWOWIE.

SEWERYN GOSZCZYŃSKI.

W 50-LETNIĄ ROCZNICĘ ZGONU.

Seweryn Goszczyński niepoślednie zajął miejsce wśród poetów romantyzmu. Wrażliwa dusza dziecięcia Ukrainy poiła się od lat najmłodszych pięknością obrazów przyrody, to wrażeniami, płynącemi z mogił i kurhanów. to wreszcie tradycją, żyjącą w pieśni. Roczny pobyt w Warszawie, gdzie niespełna 20-letni Goszczyński wszedł w kółko młodzieży, otaczającej Brodzińskiego, przyspieszył chwilę, w której odezwał się w nim duch poetycki. Pierwsze prace to drobne utwory liryczne i sonety. Niebawem wydaje Goszczyński większy utwór opisowy „Zamek Kaniowski".

Powstanie listopadowe rzuciło młodego wieszcza na pole walki. Pamiętnej nocy listopadowej należał on do owych ośmnastu odważnych, którzy w mrokach wieczoru zebrali się w Łazienkowskim parku, ażeby w chwili, gdy nad Solcem zajaśnieje łuna pożaru, uderzyć na Belweder. Kiedy powstanie rozgorzało w kraju, bierze Goszczyński czynny udział w boju, walczy w kilku bitwach i dosługuje się stopnia oficerskiego. Po upadku powstania przenosi się do ówczesnej Galicji i przebywa jakiś czas w Tatrach; tu pisze „Sobótkę", piękny obraz obyczajów i obrzędów góralskiego ludu. Owocem pobytu w górach jest także wydany w kilka lat później „Król Zamczyska". Bawi następnie w Krakowie, gdzie bierze żywy udział w pracach „Stowarzyszenia Ludu Polskiego", należy do jego przewódców, którzy, kiedy w Krakowie zaczęło im być za ciasno wskutek prześladowań, przenoszą się do Lwowa. Tu w dalszym ciągu wywiera Goszczyński ogromny wpływ na kierunek spraw Stowarzyszenia, dając przykład żelaznej energji i niestrudzonej czynności. Tropiony i prześladowany przez policję austrjacką, musi się kryć, nie ma stałego mieszkania, każdą niemal noc spędza gdzieindziej, a jednak nie ustaje w pracy. Wreszcie osaczony niemal zewsząd, opuszcza Lwów i uchodzi w Karpaty, a po pewnym czasie wyjeżdża do Francji. Osiadłszy na stałe w Paryżu, spędził tutaj Goszczyński szereg lat. Wśród emigrantów polskich zajmował wybitne stanowisko; podobnie jak większość ich cierpiał biedę, chwilami pozostawał w skrajnej nędzy, o głodzie

i chłodzie przetrwał lata wśród pracy literackiej pełnej znoju. Tam powstały „Trzy struny“, znacznie później pełne mistyki „Posłanie do Polski“, powieści prozą i przekłady. Podczas wojny francusko-pruskiej przebył oblężenie Paryża, w czasie którego wiele wycierpiał.

Na starość dopiero dane mu było wrócić do kraju. Ostatnie lata życia przepędził we Lwowie, z którym łączyły go węzły z dawnych czasów. Tutaj w marcu 1875 roku obchodził jubileusz 50-letniej pracy, w czasie którego wręczono mu pamiątkową księgę. We Lwowie też dokonał w rok później pracowitego żywota, a zwłoki jego spoczęły na cmentarzu Łyczakowskim obok innych zasłużonych synów Ojczyzny.

W bieżącej chwili obchodzimy 50-letnią rocznicę zgonu żołnierza-poety, jasnego przedstawiciela epoki wielkiej czynem i pieśnią, męża, na którego Bóg podwójne przelał natchnienie, a on z jednego tworzył poematy, drugie przekuwał na spiż i żelazo czynu. Czcimy w nim jednego z pierwszych poetów romantycznej epoki, poetę, którego „Zamek Kaniowski“ był obok ballad Mickiewicza zwiastunem złotej ery piśmiennictwa polskiego; czcimy żołnierza, który z karabinem w ręku szedł na Belweder w niezłomnej wierze, że Polska nie zginęła, że czyn powoła Ją znów do niepodległego bytu; czcimy wreszcie w Goszczyńskim człowieka, który do śmierci służył zacnie i nieskazitelnie ojczystym ideałom, który Polskę budował pieśnią, mieczem, charakterem i cierpieniem.

Zofja Polańska VIII a.

WSTAŃ PIEŚNI...

Wstań pieśni z serca śpiewnych strun!
Leć przez promienie słońca złote,
Różowe blaski wieczornych łun —
Różowo-złote...
Wstań pieśni! Leć w tę srebrną dal,
Weź z sobą, weź mój ból i żal
I całą serca tęsknotę...

Poprzez błękitu jasną toń,
Poprzez mgieł męty opalowe,
Złocisto-białe chmurki goń —
Ponad zbóż łany złoto-płowe.
O leć, o płyń w tę srebrną dal
I nieś, o nieś mój ból i żal
I całą serca tęsknotę...

I serce moje z sobą weź!
Nieś przez promienie słońca złote,
W zaświaty gdzieś,

Przez blaski złote...
O nieś je w tę srebrną dal!
Niech u stóp bożych złoży żal
Swój — i ból i tęsknotę!

Janina Molendówna VIII c.

MATKA W ŻYCIU!

Ostatnie promienie zachodzącego słońca wpadają przez duże okna i kładą się na pilnie schylone głowy pensjonarek. Na dworze cisza. I tylko czasem słychać szmer spadających okiści z drzew i leciuchny szmer padającego wolno wielkiemi płatami śniegu.

Cisza...!

W klasie szeleszczą przewracane kartki, skrzypią monotonnie pióra po stronicach zeszytów. Czasem da się słyszeć lękliwy i przytłumiony szept, który potem coraz odważniej przechodzi w ogólny szmer. A potem znowu cisza.

Zda się, że wszystko zastanawia się nad tajnikami wiedzy i nad zdobyciem jej.

A jednak...

W tylnych rzędach pod oknem siedzi pensjonarka, która wodzi rozmarzonemi oczyma po ośnieżonych drzewach, pomimo, że przed nią leży otwarty zeszyt z rozpoczętem zadaniem.

W myślach swoich widzi cichy, spokojny krajobraz wioski. Za wsią stoi szlachecki dworek. Za myślami swojemi wchodzi do dworku.

W małym zacisznym pokoju siedzi starsza kobieta. U jej nóg widzi siebie. Kobieta ogarnia ją wzrokiem pełnym miłości i gładzi jej ciemną główkę pieszczotliwą dłonią. Za oknami szumią prastare drzewa...

Nagle w klasie zrywa się hałas.

Pensjonarka budzi się jakby ze snu. Z trudem wraca do teraźniejszości. Z westchnieniem zabiera się do pracy trudnej i żmudnej, ale koniecznej.

Kartka za kartką napełnia się równem, miarowem pismem. W rozmarzonej główce układają się coraz nowe pojęcia i wiadomości. Dla szczęścia, dla doli, dla bytu!... Ściemnia się. Salę oświeca cały szereg lamp. Czas mija! Pensjonarka skończyła zadanie i znów myślą pobiegła gdzieś hen... w dal. I rozważa...

Czem jest życie? Czy wieczną złudą i tęsknotą? czy wieczną walką? czy wreszcie pracą ciągłą, a niekończącą się? A czem jest szczęście? Czy zadowoleniem z tego, co jest, czy może tylko marą i nadzieją jutra?

Powstają w jej myślach pytania. Lecz ona czuje i wie, że szczęście jest. Jest, choć płochliwe jak ptak, choć trudne do zdo-

bycia, ale jest i zdobyć je można, lecz dążyć doń trzeba całą siłą, wolą i sercem, zawsze i wytrwale.

Pensjonarka czuje, że potrafi stanąć do walki z życiem i że wyjdzie z niej zwycięsko.

Ale czasem, w chwilach jakiejś rezygnacji i smutku, opadają jej ręce i z żalem myśli, że nie ma sił do walki z życiem. I wtedy przed oczyma widzi kochające oczy Matki i Jej dłoń, kreślącą nad jej głową znak krzyża.

Wtedy pensjonarka zaciska zęby i ślubuje w duchu, że wytrwa, że się nie cofnie, że dopnie celu... i zwycięży! I mówi sobie: „Rwij się, ale cierp, szarp się, ale znoś, walcz z sobą i trwaj! Trwaj, a dopniesz celu i zyskasz szczęście“!

I zabiera się gorączkowo do pracy. Cała się jej oddaje. Wreszcie skończyła. Składa książki; raptem na ławkę wysuwa się fotografja. Fotografja jej Matki. Pensjonarka wpatruje się w nią z miłością. I nagle straszna tęsknota za tą najdroższą istotą napływa do jej serca i powoli po zarumienionych policzkach spływają dwie łzy.

Pensjonarka gorączkowo przyciska fotografję do piersi i wybiega z klasy.

Na jej rozpaloną główkę cicho padają płatki śniegu...

A gdzieś hen płynie ku niej modlitwa jej Matki.

Helena Schoferówna Vc.

O HANCE SIEROTCE.

I.

— Jezusie, Marjo! dyć to panicz! — krzyknęła Hanka, widząc tonące wraz z łódką dziecko ze dwora i rzuciwszy się w wodę, poczęła płynąć.

Szło jej to z ogromnym trudem, bo gęste zielska wodne oplątywały jej nogi. Na wielkiej przestrzeni stawu kąpało się złote słońce, oślepiając wprost swoim blaskiem. Z niemałym wysiłkiem dopłynęła Hanka do małej łódki, przepełnionej po brzegi wodą, w której stał mały może 8-letni chłopczyk, trzymając się kurczowo steru i głosem płaczliwym wołał o ratunek.

Słońce na chwilę skryło się w chmurach — tylko główka dziecka połyskiwała matowem złotem i jasne ubranko odbijało silnie od ciemnej toni.

Dopłynęła... chwyciła chłopczyka pod pachę, chociaż on z uporem czepiał się jej szyji lub włosów i poczęła z energją wracać do brzegu.

Przez chwilę zdawało się Hance, że opuszczają ją siły, że... wkrótce chyba sama zginie. Suknia bowiem, utworzywszy banię, nie pozwalała wprawdzie na rychłe zatonięcie, utrudniała jednakże pływanie. — To też pracowała Hanka z niemałym trudem, walcząc z żywiołem. Wkońcu, z nadludzkim wysiłkiem, dosięgła brzegu.

Chłopczyk, uczuwszy grunt pod stopami, podniósł przeraźliwy wrzask — rozgniatając piąstkami łzy napływające ciągle do oczu.

Hanka cokolwiek bledsza, lecz spokojna patrzyła z roztargnieniem na nadbiegające bonę i pokojówkę, które wylęknione i trwożne widziały całe zajście — nuże pieścić, a tulić ociekające wodą dziecko, zarzucając zdziwioną Hankę tysiącem podziękowań!

Nie rozumiała tego biedna dziewczyna... nie wiedziała, co zły lub dobry uczynek, nie znała podzięki, nie pojmowała nagrody!

Gdy została sama, usiadła blisko wody na brzegu i w zamyśleniu jęła przesuwać palcami po piasku, zsypując go w wodę.

Tafla sinej toni niezmiernego stawu marszczyła się pod podmuchem leciutkiego wietrzyka i pieściła się z promieniami słonka. Gdzieniegdzie woda wyglądała jak roztopione złoto, a śnieżne nenufary stroiły uroczo przybrzeżne połacie stawu, niby jakie rusałki śliczne, zaklęte w niemą tęsknotę.

Dziwny spokój... Powietrze cieple niosło się z pól i łąk wonią skoszonych traw i dojrzałych kłosów. Jaskółki, niżąc swój lot tuż nad tonią, strzepywały ze swych piórek srebrne kropelki wody. Od wschodu nadciągały chmury. Hanka patrzyła z jakimś błędnym uśmiechem w dal... a łzawe, czarne jej oczy płonęły dziwnym blaskiem. W tej chwili było jej tak dobrze, jak nigdy. Zapomniała o swem sieroctwie, o nędzy... A czas szedł i szedł, a słońce coraz niżej i niżej... Powstała Hanka i zerwawszy parę przybrzeżnych kwiatków, jęła iść brzegiem; spojrzeniem tęsknem ogarniała staw, okolony drzewami, których wierzchołki połyskiwały purpurą niby hełmy zaklętych rycerzy. Spojrzała na wznoszące się opodal wzgórze, otoczone parkiem, gdzie bielił się smukły pałac o błyszczących oknach — i hen, na swoje kochane ugory i łąki kwieciste i jakaś niczem nieumotywowana tęskność ścisnęła jej krtań, że... hej!

Chmury szły coraz gęstsze, coraz inne przybierając kształty i zdało się Hance, że jakowyś smok wyciąga szpony nad jej wioską...

— O Jezusiczku! dyć chmurki podobne, do tej potwory, co to pani nauczycielka w tej malowanej książce przynieśli — pomyślała Hanka i dobrą chwilę stała bez ruchu z głową podniesioną ku górze.

Ocknęła się z zadumy, a widząc, że czas najwyższy powracać do chaty, przerzuciła przez plecy napół mokry jeszcze kaftan i znikła na zakręcie ścieżki, wiodącej do wsi. (C. d. n.)

W naszym kościółku szkolnym.

Jeszcze parę miesięcy i odejdziemy stąd „w świat“, w nieznaną dal życia...

Dlaczego ta myśl zjawiła mi się właśnie tu, w słodkiej ciszy i spokoju naszego kochanego kościółka? Przeżyłam tu wiele pamiętnych chwil. Ile razy przychodziłam tu smutna i biedna, a cu-

downe słowa Bożej pieśni kładły mi się na duszę jak promienie kojącego światła:

„Nie płacz już, dziecino, choć cię pali ból"...

I burze wewnętrzne, żale, skargi rzeczywiście uciszały się wszystkie. Z głównego ołtarza, z pośród smugi świateł spoglądały ku mnie litosne, matczyne oczy Najświętszej Panienki.

„Marja twą matką, pod płaszcz Jej się wtul"...

Tak, czułam to dobrze, że tu wszystkie moje cierpienia, choćby „dziecinne", lekceważone i wyśmiewane przez „starszych", będą zrozumiane, odczute — i ukojone.

Wychodziłam z kościółka pogodna, pocieszona, uzdrowiona. A jakie radosne chwile przeżywając śpiewałam kolędy! Gdzie jak gdzie, ale tu śpiewało się je najszczerzej, najserdeczniej. Kościółek zmieniał się w zaczarowany jakiś pałac anielski, gdzie z pośród rajskich lilij i róż wyciągał do nas kochane, śliczne rączki „Jezus Malusieńki!" Z jakiem uwielbieniem śpiewałyśmy Mu: „Lulajże, lulaj".

Jeszcze parę miesięcy — i odejdę stąd w życie... A jednak wizja czarownych chwil, spędzonych wśród anielskich pieśni i promieni z nieba, popłynie za mną w życie jak smuga świetlana. Kiedy mi będzie źle, kiedy zranią mnie źli ludzie, kiedy zawiodą mnie nadzieje i złudy, kiedy trud życia zegnie mnie ku ziemi — wiem, gdzie szukać pociechy i ulgi. Tu przyjdę, jak dawniej, jak w latach dzieciństwa, z dziecinną pokorą, choć już nie z prośbą o „dobrą klasę" lub z żalem na „niegrzeczną koleżankę"...

Przyjdę jak dziecko do Matki, która przemówi do mnie słodko: „Nie płacz już!"...

Prawie — Abiturjentka z VIII b.

Gdy zdam maturę...

(codzienny refren ośmioklasistki).

A gdy nareszcie zdam maturę,
Wnet dumnie zadrę nosek w górę,
Niech dziwi się „publika" cała:
„Oto osoba jest „dojrzała"!

A gdy nareszcie zdam maturę,
To wszystkim sypać zacznę burę,
Bo będę wielka i potężna
I wszelkim burom — „niedosiężna"!

A gdy nareszcie zdam maturę,
Wzniosę się ponad „dwójek" chmurę!
Wtedy to, już przez wieczność całą,
Ciastka się będzie zajadało...

A gdy tak sobie słodko marzę,
W krąg ironiczne widzę twarze,
Przeczucia trapią mnie ponure:
„Czy ja wogóle zdam maturę“?!

„Hajduczek“.

STRACHY.

(BARDZO PRAWDOPODOBNE OPOWIADANIE).

Wysoko na górze stoi nasz kościółek, jak gdyby umyślnie skrył się bliżej niebios, aby być dalej od brudnych, bezkształtnych pudeł — domków żydowskich mego rodzinnego miasteczka.

Dokoła kościółka rośnie kilkanaście starych lip; same wysokie, o szerokich koronach tworzą żywy wianek dokoła świątyni, a każde lato wplata w ten wianek nieskończoną mnogość kwiatu, ofiarując przeczyste, wonne kadzidło zapachów kwietnych wokół ołtarza...

Miłe lipy. Jakże radośnie witam je, ile razy wracam do domu ze szkoły.

Kiedy wracałam pierwszy raz ze szkoły, łza zakręciła mi się w oczach, gdy zobaczyłam ich zielone wierzchołki, a matka mi mówiła potem, że pewnie płakałam z radości, chociaż zdaje mi się rzeczą dziwną, aby z radości można płakać. A jednak mamusia musi mieć rację, bo smutną wtedy wcale nie byłam.

Jednakże moje lipy umieją także być ponure i smutne. Kiedy zimny wiatr kołysze długiemi ich gałęziami i szumi, kiedy tu i ówdzie sterczą biedne złamane nagie konary, a śnieżyca kręci się i ze świstem rozpyla się na drobniutki piasek śnieżny, a na blaszanym dachu kościoła coś drży i brzęczy i skrzypi, wtedy bardzo smutno jest na naszej górze wokół kościoła.

A kiedy raz w taki dzień zimowy odbywał się pogrzeb, kiedy chowano moją małą znajomą — ale doprawdy, poco takie smutne historje?

Więc wracam do moich lip wesołych, letnich, zielonych i kwietnych.

Było to zatem w lecie, poszłam na pocztę i musiałam czekać chwilę, póki nasz znajomy naczelnik, a zarazem zawołany pszczelarz nie skończył zbierać roju.

Do okienka przyszła stara gospodyni z probostwa i nadając list, zaczęła żywą rozmowę z urzędniczką pocztową.

Słyszałam całą rozmowę.

— „Nie, paniusiu — niech paniusia mówi, co chce, a ja na własne uszy słyszałam. W starej lipie koło kościoła coś stęka i płacze. Wczoraj w nocy słyszałam te żałośne jęki i słowa „peccavi“, „peccavi“ — ksiądz mówi, że to jest łacińskie słowo i znaczy „zgrzeszyłem“. A w nocy paniusia to żadnym sposobem nie przejdzie koło lipy. Nic innego, tylko jakaś duszą pokutująca... oj, Jezu mój!

Nie spałam całą noc i litanję odmówiłam i ofiarowałam się odprawić trzy Nowenny".

— „Może kto straszy, może ptak jaki, a wy niepotrzebnie się niepokoicie".

— „Ej, nie ptak to, paniusiu! Już ja za swoje 60 lat dość słyszałam ptaków i poznam każde stworzenie Boskie po głosie. Mój Boże! A gdyby to szatan..., teraz świat taki zepsuty..."

Wejście naczelnika przerwało rozmowę, a ja wkrótce byłam na drodze do domu.

Idąc koło kościoła, mimowoli z jakimś strachem mijałam lipowy wieniec i spojrzałam na moje stare znajome.

Lecz nie znalazłam nic strasznego. Jasne słońce oświetlało zieleń, korony lip pełne były wesołego świergotu ptaków, pszczoły huczały wesoło na kwieciu. Uśmiechnęłam się, przypominając sobie co tylko słyszane słowa staruchy i wkrótce zapomniałam o strachach.

Kiedy na drugi dzień rano przyszła nasza mleczarka, zauważyłam, że nasza służąca Marynia ma jakąś dziwną minę. Trzyma w ręku jakieś naczynie i wcale nie śpieszy się z umyciem go, lecz patrzy w okno szeroko otwartemi oczyma i szepce „Jezu, zmiłuj się nad nami..."

— Co ci się stało, Maryniu?

— „Niech panienka pyta mleczarki — ona mi to opowiedziała, straszne rzeczy".

— „Cóż takiego?" pytam mleczarki.

— „To panienka nie wie? całe miasto o tem mówi... nieboszczyk organista, ten który umarł tamtego roku, pokutuje w lipach koło kościoła. Całemi nocami jęczy i płacze.. Mówi... zgrzeszyłem, odebrałem grunt sierocie, gorę — i jęczy i płacze... Sama na własne uszy słyszałam i widziałam go nawet. Wczoraj w nocy idę i słyszę to wszystko. A księżyc świecił, więc patrzę na lipę — nic. Aż tu na lipie koło samego kościoła, patrzę... między liśćmi głowa, taka podługowata, łysa — patrzę, aż to on. Chcę uciekać, a tu nogi jak przyrosły do ziemi. Tak stałam, nie wiem jak długo, jak umarła. Aż zapiał kur i wszystko ucichło. Przeżegnałam się i poszłam do domu".

Nie wiedziałam, co na to odpowiedzieć,

Kiedy opowiedziałam to rodzicom, tatuś machnął ręką i nic nie odpowiedział, a mamusia uśmiechnęła się niedbale.

Ale Marynia płakała całe popołudnie i powiedziała mi, że ktoś umrze, że sama już widziała upiora i że nie będzie spała w kuchni, tylko koło mnie w pokoju, bo się boi.

Już sama nie wiedziałam, co myśleć o tej sprawie.

Na domiar złego w nocy śnił mi się nasz kościółek, a w nim wielka czarna trumna, a z trumny podnosił się kościotrup i bijąc rękoma po czaszce, szeptał „peccavi, peccavi".

(C. d. n.)

Z DRUŻYNY HARCERSKIEJ.

Piosnka Harcerki.

(Na nutę: „Jestem sobie Kujawianka“...)

Jestem sobie Harcereczka!
Hej ha! Hejże ha!
Wciąż na ustach mych piosneczka:
„Hej ha! Hejże ha!“

Wszak harcerskie mówi prawo:
Hej ha! hejże ha!
„Precz z skrzywioną miną łzawą“!
Hej ha! Hejże ha!

Gdy mnie spotka coś przykrego,
Hej ha! Hejże ha!
Nic nie robię sobie z tego!
Hej ha! Hejże ha!

Beczą tylko małe dzieci.
Hej ha! Hejże ha!
Niechaj smutek precz odleci!
Hej ha! Hejże ha!

Tylko ludzie źli się chmurzą,
Hej ha! Hejże ha!
I tem innym radość burzą.
Hej ha! Hejże ha!

A kto czyste ma sumienie,
Hej ha! Hejże ha!
W sercu słońca ma promienie!
Hej ha! Hejże ha!

Żem wesoła Harcereczka,
Hej ha! Hejże ha!
Niech poświadczy ta piosneczka!
Hej ha! Hejże ha!

JASKÓŁKA IV a.

W naszej „Świetlicy“.

(List do chorej koleżanki).

Kochana Zocho!

Dopytujesz się, co słychać u nas w szkole, boś Ty już biedactwo od kilku miesięcy daleko od nas. Ale spodziewam się, że Ci to Zakopane, gdzie tkwisz obecnie, wspaniale zrobi i wrócisz do nas zdrowa jak rybka, a tłusta jak pączek karnawałowy! (Ach, pączki! Co za „pycha“! Uwielbiam je!)

Pytasz się w ostatnim liście, co to jest ta jakaś „Świetlica“, o której Ci w moich „epistołach“ nieraz wspominam. Tamtego roku nie było jej jeszcze w naszej szkole, więc też nic o niej nie wiesz. A więc nastaw dobrze uszu i słuchaj!: „Świetlica“ została otwarta tego roku i przyjęta przez nas entuzjastycznie. Pomyśl sobie! Mieszkając daleko od śródmieścia (a bardzo wiele z nas tak mieszka), nie mogłyśmy się wspólnie uczyć, pomagać sobie w pracy lub choćby porozumieć się w różnych sprawach, porozmawiać swobodnie. Nieraz idąc z gimnastyki na lekcję muzyki lub odwrotnie, nie wiadomo było, co począć z jakąś wolną godziną czy półgodziną między lekcjami. A tu deszcz lub mróz, zimno i głodno! Cóż robić?

I oto mamy „Świetlicę“. Cieplutko tam, jasno i miło, można nawet wypić bardzo tani i doskonały podwieczorek, który przyrządzają z całem poświęceniem Panie z „Koła Matek“. A pomysł założenia „Świetlicy“ podał, jak się pewnie domyślasz, nasz kochany

Pan Dyrektor, który zawsze tylko myśli o nas, nieznośnych urwisach! To też jesteśmy Mu za to szczerze wdzięczne!

Teraz już wiesz, co to jest nasza „Świetlica". Wyzdrowiej prędko, to będziemy tam razem uczyć się i zajadać podwieczorek!

Tysiąc całusów śle Twoja

Hanka.

MOJA PIERWSZA SANNA.

Pamiętam doskonale, gdym była jeszcze malutką, dostałam śliczne, duże sanki, któremi byłam zachwycona. Miałam wtedy pięć lat.

Codziennie wyglądałam rano oknem i pytałam się mamusi, czy już dobry śnieg. Ale ku memu zmartwieniu śnieg nie chciał padać. Aż pewnego tygodnia posypały się gwałtownie białe płatki z nieba, a w dodatku mamusia oznajmiła mi, że nasi znajomi urządzają wielką sannę, w której wezmą udział także dzieci na swoich sankach.

Radość moja nie miała granic! Skakałam, biegałam, tańczyłam i oznajmiałam naszej służącej już może po raz setny:

— Orysiu, Orysiu, wiesz ty, ach, ach, taka wielka sanna będzie! Oh! jakże się cieszę! Ciekawam, jak to się jedzie? — wołałam, targając ją za spodnicę lub bufiaste rękawy.

— Niech panienka da mi spokój! Ja nie mam czasu! Muszę gotować obiad! — broniła się.

Ale ja nie dałam za wygrane! Więc dalej na nią!

— A czegoś się tak późno do tego wzięła? Muszę ci pomóc!

— Nie! nie trzeba! O! panienka wodę wylała! Proszę sobie iść i nie zawracać głowy!

— Tere fere kuku! Baba strzela z łuku! — dorzuciłam i prędko odbiegłam, by nie słyszeć gderania.

Zaczęłam czyścić sanki, chociaż nie były jeszcze używane. Czas wydawał mi się bardzo długi i nie wiedziałam, co robić!

Aż nareszcie po obiedzie poszłam z rodzicami na oznaczone miejsce, gdzieśmy zastali już państwo L. z dziećmi. Niebawem nadeszli też inni; starsi poszli na tor kolejowy, a my na górkę z nianiami. Ja usiadłam odważnie, jakby nigdy nic. chociaż bałam się trochę. Mieliśmy zjeżdżać wszyscy razem. A nianie, których było dużo, usiadły, a raczej przyczepiły się do największych sanek. Jedna wpraszała się na moje, lecz ja wolałam jechać sama. Jeszcze usadawiałam się, gdy jeden chłopczyk upadł obok i pchnął swoim ciężarem moje sanki.

Ja chciałam je wstrzymać, ale nie umiałam, więc pojechałam. Ale jak? Sanki zatrzęsły mną, podskoczyły i pojechały dalej... A ja wypadłam i ugrzęzłam głęboko w śniegu.

Widząc to, nianie puściły się pędem za mną; oczywiście na sankach. Bardzo były przerażone, gdy nagle znikłam im z oczu, a ponieważ miałam białą czapkę i takież futerko, więc nie mogły mnie odróżnić od śniegu.

Chciałam płakać, ale nie było czasu! Trzeba się było ratować! Ledwiem się wygramoliła, gdy wpadła na mnie jak bomba z nieba jedna niania! No i znowu byłam w śniegu! A w dodatku przygnieciona nianią.

Dobra chwila upłynęła, zanim ukazałam się z obiema nianiami i sankami na horyzoncie.

— Dlaczego panienka nie zatrzymała sanek? — pytała niania, będąc przekonana, że umiem jeździć.

— Bo nie chciałam już dłużej czekać — odparłam, nie chcąc przyznać się, że jeszcze nie umiem jeździć, i dodałam: Nic nie zaszkodziło! Ale — aj, aj, tak zimno za kołnierzem, pewno dużo śniegu się wepchało!

— Aha! A mnie też za chustę nalazło!

— A niania dlaczego tak leciała na mnie? Ja już się sama wygramoliłam! A tak, to i niania zamarzła i ja! Ale cha! cha! cha! jak to sobie przypomnę, to cha! cha! cha! to śmiać mi się chce!

— Cha! cha! cha! — zawtórowały mi obie — bo też to śmieszny wypadek! Cha! cha! cha!

Tymczasem dotarłyśmy do reszty towarzystwa i wywołałyśmy dobry humor naszem opowiadaniem.

Teraz przekonałam się, że spaść ze sanek to nic wielkiego!

I byłam już odważna, chociaż nawet niektórzy chłopcy bali się jechać na sankach. Stawiano mnie małą jako przykład dla nich.

Udrycka IIIb.

Odpowiedź na wierszyk Homerówny.

„Starowiny" z piątej klasy,
Przeczytawszy wierszyk ów,
Nie zapomną po wsze czasy
Jego strasznie ostrych słów.

Nie jesteśmy my nadęte,
Jakto Homerówna sądzi,
Ni też drwiąco uśmiechnięte.
Myśląc tak, to ona błądzi.

To też trzeba odpowiedzieć
Tym dzieciakom z niższych klas,
Żeby chciały cicho siedzieć,
No i nie obmawiać nas.

Więc też klasa piąta be
Klasa „starowinek",
Wielką prośbę do was śle,
Dajcie jej spoczynek!

J. B. Vb.

DO MANDOLINISTEK!

Gdy byłam raz na posiedzeniu Zarządu Głównego Pomocy Koleżeńskiej, omawiano program pracy Zarządu Głównego na rok 1925/6. Między innemi punktami miano się zająć także zorganizowaniem orkiestry mandolinowej. Jakoś jednak i półrocze minęło, a orkiestry jak nie było, tak niema. Nie winię tutaj jedynie Zarządu Głównego, bo przecież nie od niego samego tylko zależy założenie orkiestry, ale także koleżanki, które umieją grać na mandolinie, a zwłaszcza te, które uczęszczały na pięciomiesięczny kurs gry prowadzony przez prof. Biedrzeckiego. Gramy przecież dobrze, o czem świadczy nasz występ na obchodzie Konstytucji Trzeciego Maja i na koncercie wiosennym w sali Kasyna Oficerskiego. Zachęcano także mandolinistki w *Ogniwie* do założenia Kółka Mandolinistek, a nadto wspomniano w tej gazetce o założeniu orkiestry. Ale to wszystko nie znalazło odgłosu. Sądzę, że to tylko brak chęci, bo kierowniczka napewno by się znalazła. Proszę więc Was, Mandolinistki, ażeby przynajmniej moje wezwanie nie pozostało bez skutku.

Mandolinistka.

Z POMOCY KOLEŻEŃSKIEJ.

CZYTELNIA CZASOPISM.

Porywając się na wydawanie *Ogniwa,* pisma redagowanego dla nas samych, ale też i przez nas, Zarząd Główny Pom. Kol. zdawał sobie sprawę z trudności, jakie powstaną. Wiedział, że pismo nie będzie mogło dorównać pismom, przez ludzi fachowych wydawanym dla młodzieży przeznaczonym. — Wiemy dobrze, że nie możemy się równać z *Iskrami* czy *Dziś i Jutro* lub t. p., ale też spodziewałyśmy się, że wszystkie koleżanki to zrozumieją, inaczej patrzeć będą na własne pisemko i z innych pobudek będą je popierać. Chodzi tu przecie o nasze pismo; jako nasze powinno być wszystkim nam drogie.

Domagając się słusznie poparcia *Ogniwa* przez uczenice naszego gimnazjum, postarał się jednak Zarząd Główny Pom. Kol. wynagrodzić czytelniczkom, i to bardzo hojnie, wszelkie jego braki. W tym celu założył, prawie równocześnie z rozpoczęciem wydawania *Ogniwa,* czytelnię czasopism dla młodzieży. Czytelnia mieści się w sali rysunkowej w gmachu głównym, otwarta jest we środy i soboty od godz. 16-tej do 19-tej, posiada przeszło dwadzieścia czasopism dla najmłodszych i najstarszych uczenic, nie składa się żadnej opłaty prócz zwykłej wkładki miesięcznej do Pomocy Kol. Musi się tylko przestrzegać regulaminu, np. nie niszczyć pism, nie wynosić poza Czytelnię, nie rozmawiać głośno itp., (umieszczony jest cały na drzwiach Czytelni). Marzeniem jest obecnej przewo-

dniczącej Czytelni, aby z niej stworzyć taki ośrodek życia umysłowego w naszej szkole, jakim pod względem towarzyskim staje się Świetlica. Dobór czasopism może zadowolić nawet bardzo wielkie wymagania, są w nich i powiastki i zagadki i naukowe wiadomości, są ilustracje (pisma francuskie: *L'Illustration, Le monde colonial);* są albumy z widokówkami wspaniałemi (stroje ludowe, widoki z Tatr). Zarząd Główny Pom. Kol. będzie się starał w miarę możności skupować powoli książki, aby nie tylko czasopisma były w Czytelni.

Korzystajcież koleżanki z Czytelni, a zato niech przynajmniej trzy czwarte wszystkich uczenic naszego zakładu niech stale kupuje *Ogniwo.* Będzie w tem dostateczne poparcie i Czytelni i *Ogniwa.*

S.

* * *

Herbatka dla sierót urządzona przez III a.

Dzięki zabiegom naszej opiekunki klasy urządziłyśmy dnia 6. lutego herbatkę dla sierót z Miejskiego Zakładu. Odbyła się ona w auli, którą przystroiłyśmy zielenią i kilimami, o ile możności najpiękniej, a największą chyba ozdobą był stół uginający się pod ciężarem rozmaitych smakołyków, przez nasze mamusie przygotowanych. Po krótkiej zabawie w „kotka i myszkę", pousadzałyśmy naszych miłych gości, obsługując ich serdecznie. W czasie podwieczorku kol.: Stępkowska, Doroszyńska, Kotekówna i Zarzycka, przybrane w piękne kostjumy, wykonały taniec świetlików, który się bardzo sierotkom podobał. Następnie Zajchowska i Rappaportówna wypowiedziały wesołe wiersze, przyjęte z wielkiem uznaniem. Nastąpila gra na fortepianie L. Dolińskiej i Morozowskiej, poczem odtańczono mazura. Po podwieczorku każdy z naszych miłych gości otrzymał stosowny podarek, przyczem P. Jarosiewicz przemówiła serdecznie do sierotek. Zabawę tę zaszczycił swoją obecnością również P. Dyrektor. *Lesława Dolińska III a.*

* * *

GWIAZDKA W PRZYTULISKU SS. ALBERTANEK.

Na jednem z posiedzeń klasowych postanowiłyśmy urządzić gwiazdkę dla sierot w Zakładzie sióstr Albertynek, spodziewając się, że sprawimy tem wiele radości sierotom. Dnia 22. grudnia o godzinie 9-tej rano zebrało się nas dziesięć przed kościołem św. Anny, skąd pod przewodnictwem pani Gospodyni udałyśmy się do wyżej wymienionego Zakładu. W sali, w której miałyśmy ubierać drzewko, siedziały w ławkach starsze i młodsze dziewczynki. Na powitanie: „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus" (i dodane bezpośrednio potem „całuję rączki"!) odpowiedziałyśmy „Na wieki wieków, amen". Przyniesionemi ozdobami i słodyczami ubrałyśmy drzewko, które umieściłyśmy na stole. Wywołało ono zachwyt u sierót, bo rzeczywiście było bardzo ładne i suto ubrane,

gdyż nawet z najmniejszej gałązki zwieszało się kilka orzechów lub pomadek, owiniętych w kolorowe bibułki. Zadowolone i szczęśliwe, że chociaż w części mogłyśmy uprzyjemnić święta biednym sierotom, opuściłyśmy Zakład.

Popołudniu o trzeciej godzinie znowu zebrałyśmy się koło kościoła św. Anny. Stąd wraz z uczennicami szkoły zawodowej udałyśmy się do Zakładu. Gdy weszłyśmy do sali dzieci pozdrowiły nas tak jak rano. Dużo ich było, wszystkie czekały na nas, a starsze robiły robótki. Za drzewkiem ubranem przez nas rano, stały dwa kosze z sukienkami, koszulkami, zabawkami itd. Zaświeciłyśmy drzewko i zaśpiewałyśmy kilka kolęd: „Lulajże Jezuniu", „Gdy się Chrystus rodzi", „Mizerna cicha" i inne. Następnie rozdawałyśmy podarki. Kol. Udrycka czytała nazwiska, a my dawałyśmy pakuneczki wywoływanym dzieciom. W czasie tego zaszedł niemiły wypadek — zapaliło się drzewko. Dzieci trochę się nastraszyły, ale wnet zapomniały o tem w zabawie. Miło było patrzeć na zadowolone i uśmiechnięte ich twarze. Pewnie rzadko taka radość je spotyka. Bawiło nas to, gdy małe, dziękując za podarki, mówiły nam „całuję rączki". Następnie aby im bardziej uprzyjemnić ten dzień, bawiłyśmy się z niemi w „Kotka i myszkę" w „Czyżyka", „Jawor", „Durjaka" i t. p. Z nadejściem szóstej godziny opuściłyśmy Zakład. Z żalem żegnałyśmy dzieci, ale radowało nas to, że i one mają drzewko, a każda z nas myślała też o swojem drzewku, które pojutrze trzeba stroić. *III b.*

OD REDAKCJI.

Do następnego numeru trzeba nam artykułu o Staszicu. Która z Koleżanek ma ochotę napisać go, zechce się zgłosić w Redakcji po książki i informacje.

* *
*

Rozwiązanie „krzyżówki" z Nr. 5-go *Ogniwa* nadesłały: Dzikowska V a, Rothówna V a, Szczepanowska V a. Dlaczego tak mało? Pomyślcie, jak strasznie mały procent, na 800 prawie uczenic zaledwie 3. Uf! Ażem się zarumieniła.

* *
*

H a l i n i e VI b. Z przysłanych redakcji wierszyków nie zamieszczamy nic. Dlaczego? Nie obraź się, ale rym nie brzmi ładnie. A w wierszu o wiośnie, który ma być wierszem nawskroś lirycznym, ten rym miejscami bardzo psuje całość. Wiersz drugi tematem i sposobem ujęcia nie nadaje się na łamy naszego pisemka. Rozumiesz nas i nie gniewasz się, prawda?

Z y t a U. III b. Będziemy czekać na taki dzień wiosny i jeśli przekonamy się, że to, coś napisała, jest prawdziwe, wówczas za-

mieścimy. Ale tylko pod tym warunkiem. Pisząc, pamiętaj o ortografji.

Dance i Teresie IVb. Nie możemy zamieścić. Pisząc swe artykuliki, nie pomyślałyście z pewnością, że osobie, o której pisałyście, mogłoby być bardzo nieprzyjemnie, no a temu, kto przyszedł na jej miejsce, wprost przykro. Zawsze i o tych rzeczach trzeba koniecznie pamiętać. Półrocze już nieaktualne.

„Puella“. Od 2. lutego nie śpiewa się kolęd, to też i Twojej mimo, że ma ładne miejsca, nie możemy zamieścić.

„Ajfor“. Podobały się nam myśli zawarte w Twym artykule, tylko ponieważ sprawy, które poruszasz, są naprawdę kwestjami bardzo trudnemi i poważnemi, nie można się z niemi tak krótko załatwić. Trzebaby je planowo obmyśleć i bardzo dokładnie opracować.

Janka L. IVb Wiesz, Janeczko, że dwója, półrocze, świadectwo, notes to bardzo oklepane i niewdzięczne tematy.

Irence P. Va. Za list i wiadomości o sobie dziękujemy, tylko, że nie podoba się nam ta podwyższona temperatura. Koniecznie ją trzeba zdegradować. Sprawozdania nie zamieszczamy, gdyż jest ono napisane w takiej formie, że nadawałoby się tylko do jakiegoś innego pisma. Nie choruj, pa!

* * *

Drogie i Kochane moje Koleżanki!

Piszę, by się z Wami pożegnać, wyjeżdżając bowiem ze Lwowa, odchodzę z naszego gimnazjum. Jak wielką mi to sprawia przykrość, każda chyba zrozumie. Żegnając Was jednak za pośrednictwem *Ogniwa*, chciałabym jako redaktorka tego pisemka, poprosić Was, Koleżanki, o jedno. Zajmując się *Ogniwem*, miałam nieraz, choć w tak krótkim przeciągu czasu, wiele kłopotu i biedy z tem, by numer wypełnić zajmującemi artykulikami, nadać mu jakąś myśl przewodnią, ożywić czemś wesołem. Kłopot pochodził stąd, że teczka była pusta, a i w skrzynce też niczego znaleźć nie można było. Rozumiecie, że chodziło mi o to, by nie pisała redakcja, ale by artykuły nadchodziły z klas. Trochę jednak mało było tych rzeczy ze szkoły. Otóż teraz, żegnając Was, zwracam się z bardzo serdeczną prośbą, abyście pamiętały o *Ogniwie* i opiekowały się niem; niech moja następczyni nie ma takich kłopotów! dobrze? Wiem, że macie dobre serduszka i tej mojej prośbie nie odmówicie. Odchodząc życzę Wam dużo, dużo szczęścia. Bądźcie zdrowe, wesołe i nie narzekajcie, proszę, na gderliwe stworzenie, które, mimo że już idzie, jeszcze gdera. Wszystko to dlatego, że było mi z Wami naprawdę dobrze i żal mi odejść.

Jadźka Sedlaczkówna, VII a.

Statystyka oszczędności uczenic

za I. półrocze 1925/6.

Klasa	Ilość		Złożono		Odesłano do M. K. O.	Ilość książeczek
	uczenic	oszczędz.	zł	gr	zł	
I a.	46	17	20	76	12	5
I b.	38	21	34	94	17	5
II a.	43	20	50	48	42	14
II b.	44	23	35	42	31	13
III a. . . .	50	19	16	25	12	14
III b. . . .	44	27	73	86	64	16
IV a. . . .	43	14	31	19	21	10
IV b. . . .	46	23	37	37	32	14
V a.	34	24	37	81	24	16
V b.	37	26	32	34	11	8
V c.	42	30	23	08	4	5
VI a. . . .	40	27	61	79	49	21
VI b. . . .	30	10	5	16	—	3
VI c. . . .	41	31	12	68	3	13
VII a. . . .	40	19	59	02	54	16
VII b. . . .	41	31	56	13	33	20
VII c. . . .	38	37	27	84	12	21
VIII a. . .	19	7	3	07	—	3
VIII b. . .	39	9	8	96	5	7
VIII c. . .	29	17	53	85	45	16
Razem . .	774	432	682	01	471	240

Czytelnia otwarta we środy i soboty od godziny 16-ej do 19-ej. Gmach główny — sala rysunkowa.

Za redakcję odpowiada: HELENA KOSTECKA.
Wydaje Pomoc Koleżeńska ucz. gimn. Królowej Jadwigi.
Wychodzi raz w miesiącu.

Cena numeru 40. gr.

Drukarnia Akademicka Lwów, ul. Krzywa 10. — Tel. 28-69.